

Katarzyna Wiśniewska

„Tygodnik Powszechny” - 29. VIII.2004

Smutek wywłaszczonego serca

Przypomnienie esejów Andrzeja Kijowskiego

Nazwał Boga pomysłem, od którego nie można się uwolnić. Fascynowali go Baudelaire, Joyce i Jan od Krzyża. Pismom Simone Weil i Pascala przyznawał nad sobą władzę absolutną.

Mówił często, że pisać nie znosi, jednak pisał do końca życia. Tworzył powieści i opowiadania, lecz prawdziwym jego żywiołem był esej. W felietonach na łamach „Tygodnika Powszechnego” i „Twórczości” znajdował ujście dla swojego niewyparzonego, jak mawiali jego przyjaciele, języka i bezwzględnej szczerości.



Andrzej Kijowski trzymał się obrzeży Kościoła. Swoje literacko-teologiczne eseje, zebrane we wznowionym niedawno tomie „Tropy”, oceniał ostro, zarzucając sobie minoderię, brak chłodu i obiektywności stylu. Uczestnicząc w Dniach Kultury Chrześcijańskiej, przygotowując wykłady dla kleryków, zdawał się być zażenowany, jakby grał rolę, do której nie dorastał.

Uczeń św. Augustyna

Dom państwa Kijowskich nie należał do zwyczajnych. Mały Andrzej co dzień balansował na cienkiej linii między tym, co dozwolone a tym, co surowo zakazane, między prawem, którego siedzibą było mieszkanie przy ulicy Karmelickiej, a bezprawiem czyhającym na zewnątrz. Do sfery Nietykálnego zaliczał się stojący na podwórzu karawan. Przed widmem śmierci chroniono go tak ściśle, ponieważ życie jego zawisło kiedyś na włosku. Przeżył dzięki „cudowi”: zrozpaczona matka, kiedy bezsilni lekarze odstępili od łóżeczka chorego na cholera malca, uratowała go kieliszkiem koniaku. Jak się później zarzekła, podała mu

go na rozkaz Najświętszej Panienki.

Pobożność matki, zawsze obsesyjna, sięgnęła wtedy zenitu. Kijowski wspomina długie godziny, jakie spędzał z nią w kaplicy sióstr Felicjanek na Smoleńsku. Wchodził tam do zamykanej ławeczki-klęcznika i, bawiąc się w latający pojazd, cierpliwie czekał, aż matka skończy modlitwę. Granica między dozwolonym a nietykalnym przeobraziła się w radykalny podział świata na to, co zwyczajne i nadprzyrodzone.

Od religijności matczynej Kijowski odwróci się po latach ze złością: "Ów Bóg jest przeze mnie porzucony, opuszczony, jak rękopis na dnie szuflady". Nigdy jednak nie potrafił do końca odrzucić Kościoła. Kiedy w roku 1960 znajdzie się w Paryżu dzięki stypendium fundacji Forda, często zagląda do kościoła St. Severin, a chwile tam spędzone są dla niego powrotem do utraconej krainy, do ludzi "swoich", z którymi w tych samych momentach klęka i wstaje.

Teologię wspólnoty rozwinie w "Tropach", przypisując jej podłoże ontologiczne: "żyjemy wspólnym rytmem i obejmuje nas prawo statystyki". W tej świętej Całości żyje Bóg. Wspólnota jest miejscem, gdzie objawia się sacrum. W eseju "Papież i lud" narysuje Kijowski obraz ludzi oczekujących na Ojca Świętego na Błoniach - już nie tłum, nie imponującej liczebnością masy, lecz świętego zgromadzenia. Chrześcijańska przestrzeń sakralna, napisze, nie jest magiczna, chociaż pozornie wszystkie elementy sacrum magicznego są w niej obecne: szczególny czas, miejsce, wzruszenie tłumu. Tę wspólnotę tworzą istoty wolne, nie zaś uległe ofiary tajemnych ceremonii.

Przyczepianie Kijowskiemu łatki "kolektywisty", jak zdarzało się to czynić niektórym krytykom, jest nie na miejscu. Żadną miarą nie należy interpretować jego myśli w kategoriach przejścia od wiary we wspólnotę historyczną w stronę wiary w kolektyw rozumiany jako Kościół. Dla Kijowskiego nieodłączny od wiary był pierwiastek antropologiczny. Nie szukał w Kościele usprawiedliwienia dla instynktu gromadności, lecz dostrzegał w nim najpełniejszą realizację indywidualności.

Stąd tak bliska była mu postać Jana Pawła II. Swoistym przewrotem kopernikańskim w nauczaniu Kościoła był, zdaniem Kijowskiego,

zastosowany przez Papieża nowy sposób mówienia o człowieku i Bogu. Teologia stała się w wykonaniu Jana Pawła teologią humanistyczną, antropologia zaś zyskała wymiar mistyczny. Dzięki Papieżowi tłumnie zgromadzony lud był czującą, wrażliwą Osobą.

Wspomnienia Kijowskiego związane z Karolem Wojtyłą sięgały czasów, gdy mieszkał przy Warszawskiej, w parafii św. Floriana. Ulegając prośbom matki, w tajemnicy przed znajomymi, poszedł w niedzielę na Mszę o godzinie dziesiątej, żeby posłuchać kazania nowego księdza. Odtąd chodził co tydzień. Sam jednak nigdy z młodym wikarym od św. Floriana nie rozmawiał. Wiedział, że jego matka czyniła to nieraz. Irytowało go to, wiedział, że rozmowy toczyły się na jego, Andrzeja, temat. Spotkali się raz, przypadkiem, na ulicy. Wytrzymał przenikliwy wzrok przyszłego papieża i bez słowa, z rękami wciśniętymi w kieszenie, poszedł dalej. Był wówczas studentem polonistyki, manifestującym swój antyklerykalizm. Czekala go zaszczytna przyszłość literata, krytyka...

Dlatego wiele lat później odczuje duchowe pokrewieństwo ze świętym Augustynem i stworzy esej "Dopiski do »Wyznań...«". Dzieła teologa z Tagasty czytał emocjonalnie, przez filtr własnego życia. Podkreślał, że i Augustyn jako retor żył w fikcji. Znamienne jest przywołanie opowieści Augustyna o tym, jak to na zamówienie tworzył kłamiwą mowę o cesarzu. Kijowski skomentuje sarkastycznie: "zupełnie jak my (...) na wieczorach autorskich i akademiach. Wiemy, że bredni słuchamy, bredniom się przyglądamy, brednie oklaskujemy, brednie tworzymy, ciesząc się z oklasków i nagród, które za nie otrzymujemy".

I on sam przecież nieraz się z tych "bredni" cieszył. Na przykład wtedy, gdy pół-żartem zapisywał listę nazwisk czołowych krytyków i intelektualistów, którzy "złożyli mu hołd" po ukazaniu się w 1968 roku "Dziecka przez ptaka przyniesionego". Cieszył się, by za chwilę uznać książkę za zupełnie chybioną, napisaną dla pieniędzy.

Nie byłby Kijowski uczniem św. Augustyna, gdyby nie cenił w wierze pierwiastka niepokoju. Wiara autentyczna miała drażnić, siać niezgodę. W konsekwencji Cel, do którego wiodły tropy, był nieuchwytny. Zaś sam trop - mało wyraźny - raz po raz urywał się. Nie inaczej rzecz się miała z Kościołem. Wedle własnych słów, Kijowski był jednym z tych,

którzy wokół Kościoła krążą, nie mogąc się zdecydować ani na wejście, ani na odstępnie. Słowa Credo dotyczące powszechności i apostołstwa Kościoła budziły jego wątpliwości. Mówił, że wierzy jedynie w jego świętość. Może dlatego przeżywał z pasją każdą Mszę Świętą. Lubił świątynie zwyczajne, "nieintelektualne", nie raziły go pstrokate obrazy, wystrojeni ludzie. Gdy stał wśród nich, przepętniała go dziwna mieszanina goryczy, miłości, bólu.

Literatura jest wiarą

Pokpiwając z retoryki i z siebie - żonglera słów, pozostanie słowu pisanemu wierny i to na nim oprze swoją teorię o jedności literatury i religii. Szukanie Boga jest szukaniem słów, które go wyrażą, łącznikiem między rozumem a tajemnicą a nawet, powie pisarz w "Dopiskach...", próbą usprawiedliwienia się przed rozumem z tej "nowej miłości".

W eseju "Granice literatury" z 1964 roku mówił o konieczności umieszczenia literatury w szerszym kontekście antropologicznym, o otwarciu jej na własne bogactwo, jakim są nawarstwiający się mity, figury retoryczne, ludzkie wierzenia i uprzedzenia czy wreszcie Słowo przemienione w Ciało. Literatura musi stać się par excellence filozofią człowieka.

Tomasz Burek dostrzega u Kijowskiego wyraźną tendencję do dzielenia pisarzy na dwie kategorie. Pierwsi to retorzy, salonowcy, "oficjaliści Pana Boga". Trzymają się z dala od ludzkiego cierpienia, nie dostrzegają Upadku, a więc i Krzyża. Drugą grupę tworzą pisarze-świadkowie, baczni komentatorzy kondycji człowieka, w którą wpisany jest grzech. Zgodnie ze szkołą augustyńsko-pascalowską postrzegają oni człowieka jako byt rozdarty, szamoczący się między nieskończonością a nicością. Kijowski cenił sobie szczególnie Brzozowskiego, dostrzegając w jego twórczości piętno cierpienia, powodowane bagażem powinności, jakie autor "Legendy Młodej Polski" wziął na swoje barki. Pełnił on, wedle Kijowskiego, funkcję pisarza w sposób doskonały: pisząc, dźwigał ciężar życia, spraw kosmicznych i tych drobnych.

W eseju o twórczości Henry'ego Millera czytamy o "potwornej ambicji" literatury, aby nie tylko uszczęśliwiać, ale i zbawiać. Bez tej ambicji

jednak pozostaje ona zabawą, ładnym "gęganiami". Literat, powie Kijowski, będzie musiał przyprowadzić ze sobą na Sąd Ostateczny przynajmniej jednego świadka, który pod przysięgą zezna, że pisanina podsądnego na coś się mu przydała. W przeciwnym razie...

"pozostaniemy na wieki w piekle, to znaczy w hotelu Mayflower, na amerykańskiej równinie, i gęgać będziemy do siebie co piątek, patrząc przez szklaną ścianę na autostradę, którą nie przez nas uszczęśliwieni, nie przez nas zbawieni pomykać będą błyszczącymi autami na Ostateczny Weekend".

Nie z megalomanii, nie z pretensji do roli rządcy dusz zrodziło się przekonanie Kijowskiego o roli literatury, lecz z konsekwentnego rozumienia ewangelicznego "Słowo ciałem się stało". W "Tropach" nazwie kulturę, rzeczywistość językową miejscem spotkania jedynych dwóch istot, które w całym kosmosie do siebie mówią. To w kulturze dochodzi do konfrontacji człowieka i Boga, jest ona przestrzenią, gdzie rodzi się wiara i niewiara. Słysząc tu znów echo Pascala: słowo nie może być wypowiedziane bezkarnie; rozpięte między wszystkim a niczym zmusza do wyboru etycznego. W eseju "Kultura jest wiarą" Kijowski powie, że Logos jest jedynym uprawomocnieniem ludzkich słów, że tylko na mocy prawdy Bożej możemy ufać słowom, które wypowiadamy na temat tego, co niewypowiadalne, możemy próbować nazywać to, co nienazywalne. Kulturę, traktowaną jako rzecz sama w sobie, uważał za "szkolarską" czy wręcz "wariacką". Twierdził, że sensu może ona nabrać tylko wtedy, gdy zostanie ustawiona w szeregu spraw niższych i wyższych.

Emblematy tęsknoty

"Smutek wywłaszczonego serca" przypisywany Augustynowi dotykał także i Kijowskiego. Miał rację Jan Błoński, gdy pisał o naznaczeniu twórczości pisarza emblematami szarości i nudy. Życie rodzinne i towarzyskie mierziło go. Ze wstrętem niemal zagłębiał się w swoje stany wewnętrzne, z których wiało pustką, sprzecznością. Zaliczał siebie do "piątego rodzaju ludzi Pascala" - pogrążonych w inercji, jednocześnie rozumnych i nierozumnych, szczęśliwych i nieszczęśliwych. Do ludzi chorych.

Identyfikował się z Baudelaire'em, którego "Dzienniki poufne" tłumaczył. W jednym ze szkiców wspomni o grymasie znużenia, jaki towarzyszył autorowi "Kwiatów zła". Samego Kijowskiego nie opuszczał półmrok spleenu. Doszedł do wniosku, że "nudzenie się" jest jedyną czynnością, którą wypełnia sumiennie, zmuszając się dzień w dzień do robienia tego, czego nie cierpi - czytania i pisania. "Literat to rodzaj damy, która musi jeść i spać przed lustrem" - szydził, trawestując Baudelaire'owską sentencję o dandysie.

We fragmentach dziennika z lat 80. Kijowski napisze o całkowitym braku przyjemności płynącej z tworzenia. Pieczołowitego notowania jednak nie zaprzestał, chociaż jałowość tej czynności męczyła go; nie nastawiał się na odbiorców ani wydawców. Więcej hartu! - powtarzał sobie gorzko. Starał się tworzyć dla siebie.

Kiedyś na lustrze w pokoju w zakopiańskiej "Astorii" wypisał dwa słowa, w których wyrażać się miała najgłębsza prawda o nim: pożądanie i strach. Stąd może brał się w nim ten szaleńczy pęd do pracy. Chciał w ten sposób stłamsić tłącą się w nim trwogę, co przychodziła znikąd, lub na chwilę chociaż zagłuszyć ból zwiastujący chorobę.

Żył w nieustannym konflikcie wewnętrznym, zarzucając sobie zakłamanie tak w sferze życia osobistego, jak i zawodowego. W wywiadzie udzielonym ks. Januszowi St. Pasierbowi w 1970 roku powie, że świadomość winy i grzechu to podstawowe rzeczy, jakie wyniósł z Kościoła. Dlatego jego stosunek do Kościoła był ambiwalentny: nie potrafił określić, na ile czuł się przezeń ukształtowany, stworzony, a na ile okaleczony.

Lecz paradoksalnie to właśnie poczucie winy uważał za najpełniejszy wyraz miłości, bo odwraca naszą uwagę od własnego istnienia i kieruje ją ku cudzemu. Im jest ono silniejsze, bardziej nieuzasadnione, tym miłość - czystsza. Miłość w rozumieniu Kijowskiego nie była aktem woli, lecz rodzajem niewidzialnego szpagatu nieodwołalnie związanego ze sobą ludzi. I chociaż spaja ich na wieki, wcale nie zmniejsza przepaści, jaka między nimi ziele.

Dla Simone Weil istotą miłości był niemożliwy do przekroczenia dystans. W podobny sposób myślał Kijowski: miłość nie mogła być szczęśliwa w

potocznym rozumieniu tego słowa. Najpełniej wyrażała się przez oddalenie, stracenie drugiego człowieka z oczu. Bo kochać znaczy "posiadać nicość nazwaną jego imieniem, nadać jego imię własnej, przeogromnej absolutnej samotności".

Nie inaczej doświadczał Kijowski pragnienia Boga. Deus absconditus, którego - jak pisał - "nie znam i za którym tęsknię", nie jest Bogiem bliskim, nie zmaże czającego się gdzieś straszliwego pytania: a może potem nie ma nic? Ale wszak nie o odpowiedź pisarzowi chodziło.

ANDRZEJ KIJOWSKI, "TROPY". Poznań 2004, Wydawnictwo "W drodze"